

„BALLADYNĘ” WYSTAWIONĄ W TEATRZE POLSKIM NALEŻAŁOBY CZYM PRĘDZEJ ZDJĄĆ Z AFISZA.
DLA DOBRA NARODU I PIELGRZYMSTWA SZKOLNEGO.

Korona sięgnęła bruku czyli litości, do pioruna!

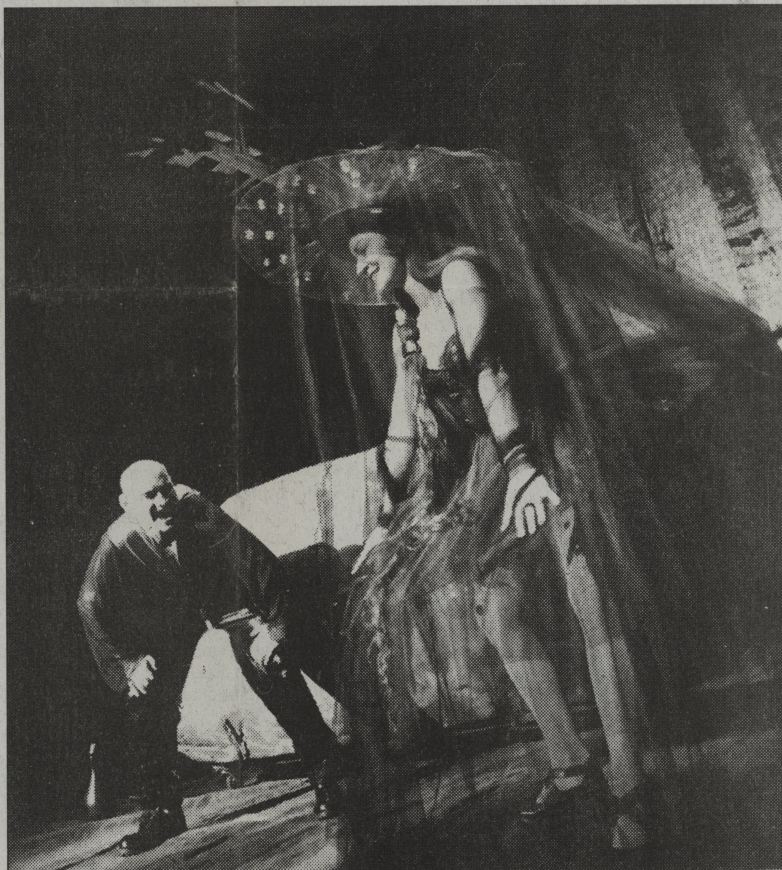
Kiedy kurtyna uniosła się honorem i poszła w górę, zespół Teatru Polskiego, który właśnie na oczach małałatów odegrał przedpremierową „Balladynę”, stał ze spuszczonej głowami. Czy był to rodzaj ukłonu, czy też wyraz poczucia wstydu albo raczej zażenowania czy zakłopotania – nie wiem.

Bo wstydzić powinna się raczej reżyser Dorota Latour, która okazała się całkiem głucha na to, co wyrazić dziś może sztuka Słowackiego, i na to, co niesie współczesność ze swoim upodobaniem do parodii i groteski, do dynamiki i tempa, do mocnych i zaskakujących efektów widowiskowych. Ale głucha także pozostała na to, co dzwoni dziś w uszach małałatom, do których przecież głównie „Balladyna” jest adresowana. I którzy wychowani na wideoklipach i filmach akcji, w nosie mają gadulstwo i nudziarstwo na scenie albo pseudosmaczki, mogące podniecić jeszcze garstkę – co najwyżej – cmokierów z rezerwatu teatralnej staroświeczyny.

Słowacki napisał „Balladynę” w taki sposób, że można z niej zrobić jeszcze dzisiaj całkiem niezłą zadykę teatralną. Ale do tego trzeba odrobiny odwagi i fantazji. To, co dziś w „Balladynie” fascynować by mogło, to granie konwencjami, mruganie do widza, parodystyczna zabawa w teatr i w thriller w stylu fantasy – z użyciem rzecz jasna całej masy zabawnych anachronizmów.

Od samego początku – kiedy tylko publiczność znajdzie się na widowni – nad jej głowami wisi ogromna korona Popielów, uosobienie wszelkiej narodowej pomyślności, tak nawiasem mówiąc ciągle nieosiągalnej jak ów złoty róg w „Weselu”, co go Jasiak pewnikiem przeżułał u Żyda. Ta korona na szczęście nie spada nam na głowy jak owa – ausgerechnet – siekiera na łeb majstra Sajemana w „Szewcach”, choć tkwi tam w górze niczym groźne memento. Ale mimo to w końcu – choć wisi – sięga niestety bruku za sprawą tego nieudanego przedstawienia, rozstrojonego w równym stopniu jak ów fortepian Chopina po upadku.

I tylko widzów żal. Ci ostatni bowiem – mam na myśli małoletnią publiczność – wykazali maksimum dobrej woli, tylko od czasu do cza-



Irena Lipczyńska jako Goplana i Waldemar Obłozja jako Grabiec

Fot. ARCHIWUM

su wierząc się rozpaczliwie, bo w biednych, rozpalonych głowach równie rozpaczliwie przecież kołotało się pytanie: „Dlaczego kochamy Słowackiego?”. Także ciało pedagogiczne rozglądało się po sali bezradnie i już tylko z nawyku sykało, resztkami sił podtrzymując w sobie upadającą wiarę, że „Słowacki wieszczem był”.

Przedstawienie jest bowiem całkiem bezstylowe, pozbawione indywidualnego wyrazu, amorficzne, zrobione bez wyobraźni, monotonne, statyczne i – co tu owijać w bawełnę – przegadane, nudne i bez żadnego adresata. Wizualnie też tandetne i ubożuchne. Widać zresztą jak z każdego kąta wylazi reżyserka nieporadność. Aktorzy bronią się, jak kto może i potrafi,

stąd każda postać gra w innym stylu i jakby z innej jest parafii. I tylko Irena Lipczyńska jako Goplana ma świetny kostium i wie, co grać. Jest erotyczna i eteryczna, cielesna i „galaretowato-szklaną”. Kiedy przykleka zakryta wielkim płaskim kapeluszem i rozdyma wokół siebie tiulową szatę, wygląda jak kwiat wodny albo meduza.

Znakomity teatrolog prof. Bohdan Korzeniewski walczył w swej książce – poświęconej także realizacji „Balladyny” – „o wolność dla pioruna”. Ja wołam o litość, do pioruna! Dla widzów!

BŁAŻEJ KUSZTELSKI

P.S. Do tej nieszczęsnej „Balladyny” pozwolę sobie powrócić raz jeszcze w najbliższym wydaniu piątkowym.